

ABY UWOLNIĆ PORWANEGO, NIE WYSTARCZY JEDEN MAGAZYNEK

ARKADY SAULSKI

GAIJIN



BUKOWY LAS

Prolog

Ten, kto jest samurajem, musi przede wszystkim dniem i nocą – od noworocznego ranka, kiedy wyciąga rękę po pałeczki, aby zjeść świąteczne śniadanie, aż do ostatniego wieczoru starego roku, kiedy spłaca roczne rachunki – pamiętać o tym, że umrze. To jest najważniejsze.

DAIDOJI YUZAN SHIGESUKE

Życie tak często przelatywało mu przed oczami, że Karol Hotaro przysypiał już na niektórych fragmentach.

Teraz jednak nie mógł sobie pozwolić na drzemkę. Pędząc pięciotonowym FAW-em MV3, cieszył się, że wybrał nowszy, sprowadzany z Chin model anizeli, jak początkowo planował, któryś ze zdezelowanych urali, stanowiących trzon ciężarowego parku maszyn armii Korei Północnej. FAW może nie był nowką sztuką, ale nie użytkowano go zbyt często, pewnie wystawiając podczas wizyt oficjeli lub zagranicznych mediów, by pokazać, że nie, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna wcale, ale to wcale nie jest skansenem stalinizmu w XXI wieku. A przynajmniej nie jest nim, tak do końca, technicznie.

Boże, błogosław propagandystów!

Hotaro nie miał czasu zastanawiać się nad meandrami logiki reżimowych zakupów. Pędził właśnie z zawrotną jak na ciężarówkę prędkością do mostu „72 godzin”, żeby jak najszybciej dotrzeć do obszaru określanego jako Joint Security Area (JSA), najbardziej znanego miejsca w całej zdemilitaryzowanej strefie rozgraniczenia między obiema Koreami, gdzie naprzeciw siebie, niemal twarzą w twarz, stali żołnierze Północy i Południa. Za sobą zostawił dymiące resztki budynku w wiosce tuż obok posterunku Koreańskiej Armii Ludowej – eksplozja i pożar skutecznie odwróciły uwagę żołnierzy, zastanawiających się, kto chciałby atakować wioskę pełną pustych budynków i pól uprawianych tylko na pokaz. Teraz Hotaro miał kradzioną ciężarówkę, pod ręką naładowany karabin

Typ 88 (będący chińską podróbką starego, dobrego „kałacha”), sześć magazynków w taktycznej kamizelce, kilka granatów, glocka 19 w kaburze, dwa wojskowe, poradzieckie UAZ-y na ogonie i nastoletnią dziewczynkę na siedzeniu pasażera, która zachowywała w tej całej sytuacji szokujący spokój.

„Gdyby to mnie porwano ze szkoły, przewieziono w ciemnym pudle przez cały archipeląg i potem wdrażano do nowego życia w obcym, nieprzyjaznym kraju, to tak, facet ratujący mnie w środku nocy i rozwalający przy tym pół państwa pewnie też nie zrobiłby na mnie wrażenia” – pomyślał kąśliwie Hotaro.

Jazda na złamanie karku do JSA to nie był jego plan A. Ani B, ani C... Gdyby Hotaro się nad tym głębiej zastanowił, nie był to nawet plan Z. Ale wszystko poszło nie tak! Pierwotnie miał dokonać ekstrakcji drogą morską, przepłynąć z dziewczynką łodzią wiosłową z okolic Mahang-Dong na zachodnim brzegu, przemknąć między patrolami straży przybrzeżnej i dobić do brzegu w pobliżu Seohan-ri. A będąc już na Południu, mogli do Seulu łapać choćby stopa. Gdy to nie wyszło, Hotaro przyjął, że przedostaną się drogą lądową, przez dziki obszar strefy zdemilitaryzowanej – ale i ten plan zawiódł. Potrzebne więc były nowe, wciąż nowe, na bieżąco. Dziewczynka, Keiko Komasa, okazała się absolutnie kluczową osobą dla reżimu Kimów, choć przecież nie była wojskową, analityczką, ani nawet krewną jakiegokolwiek znanej postaci japońskiego życia publicznego. Nie – była zwykłą uczennicą, porwaną spod szkoły przez agentów oszalałego, archaicznego państwa, które teraz tak „bezcennej” zdobyczy nie miało zamiaru wypuścić.

Gdy więc kolejne założenia upadały, Hotaro był zmuszony improwizować, układając nowe, doraźne plany. Ten obecny zakładał siłowe przebicie się do Korei Południowej, choć Hotaro liczył się z tym, że jeśli nie zastrzelą go żołnierze Północy,

zrobią to nieświadomi jego misji żołnierze Południa, ale nie miał już teraz innego wyjścia.

„Głupi plan jest lepszy niż brak planu” – tak zawsze powtarzał mu dziadek. Hotaro często brał sobie te słowa do serca.

Dostrzegł już most „72 godzin”, nacisnął mocniej pedał gazu, niemal dociskając go do podłogi. Tuż przed mostem znajdował się posterunek, jednak żołnierze – z tego, co widział, trójka – nie zamknęli potężnych stalowych odrzwi wbudowanych w wał pomiędzy dwiema częściami obszaru. Teraz Hotaro błogosławił w myślach dziadostwo tego reżimu – wojskowi na posterunku zapewne nie mieli nawet krótkofalówki! Nie poinformowano ich więc o tym, że ktoś skradł ciężarówkę, dokonał zniszczeń na zachodzie... owszem, widzieli na porannym niebie łunę pożaru, ale bez informacji od innych oddziałów nie mogli mieć pewności, czy to sabotaż, czy wypadek. Nie dostali też rozkazu zamknięcia bram, te więc były otwarte.

Dla żołnierza służącego totalitarnemu reżimowi jasne jest przecież, że bez rozkazu nie może nawet mrugnąć.

Po wielu dniach kolejnych fiask wreszcie coś w tej misji zaczęło się układać po myśli Hotaro.

Przemknął przez posterunek, nie zwalniając. Ciężkie opony zabębniły o blaszaną powierzchnię prymitywnej zwodzonej kładki tuż przed mostem i już FAW był po drugiej stronie. Za sobą wciąż miał ścigające go co najmniej od koreańskiego Muzeum Pokoju wojskowe UAZ-y, a przed sobą najtrudniejszą część zadania.

– Trzymaj się cały czas blisko mnie, jasne? – rzucił do dziewczynki po japońsku. – Choćbyś była przerażona, musisz się mnie trzymać. Ja mogę oberwać, ty nie.

Pokiwała głową z szeroko otwartymi oczami. Na pewno się bała, ale wydawała się całkowicie spokojna.

– Wracasz do domu, do rodziców, jasne? – dorzucił na pocieszenie.

W oczach dziecka błysnęła nadzieja.

Ponad drzewami widział już zarysy budowli JSA, mieniących się bielą na tle jaśniejącego porankiem nieba.

Hotaro ścisnął mocniej kierownicę, zluzował pedał gazu. Uspokoił oddech.

„Za chwilę dopiero się zacznie”.

Ciężarówka minęła centrum kongresowe Tongilak po lewej i Hotaro dostrzegł sylwetki żołnierzy w brudnozielonych mundurach z czapkami tak szerokimi, że pewnie zdołałby wystartować z nich odrzutowiec – wojsko Północy. Ci zapewne mieli radio, dotarli do nich meldunki o ciężarówce pędzącej od strony mostu, nie byłby to przecież pierwszy raz, kiedy ktoś próbował uciec z tej krainy wiecznej szczęśliwości właśnie tą drogą. Przed kilkoma laty niemal identyczny plan przeprowadził żołnierz Północy, chcący wyrwać się z ciepłych objęć reżimu Kimów, i ten właśnie karkołomny wyczyn zainspirował Hotaro do tego rozwiązania.

Tyle że Hotaro był od tamtego wojaka o wiele lepiej przygotowany.

Teoretycznie JSA miało być obszarem całkowicie rozbrojonym, lecz był to jedynie pic dla międzynarodowej opinii publicznej. Żołnierze Północy mieli po swojej stronie istny arsenał. Żołnierze Południa zapewne też, ale skuteczniej się z tym kryli. Gdy więc Hotaro zauważył podłużne kształty w rękach żołnierzy Północy, wiedział, że nadeszła chwila na taktykę, którą wojskowi lubili nazywać „szokiem i przerażeniem”.

Skręcił ostro w prawo, tak aby dziewczynka znalazła się poza zasięgiem kul. Jeśli miały kogoś dosięgnąć, to lepiej jego aniżeli ją.

– Kiedy dam znać, wysiadaj! – syknął do dziecka, jednocześnie zatrzymując ciężarówkę. Pojazd zarył w trawę na poboczu i stanął, zaskakując mężczyznę jakością hamulców.

Ciało Hotaro pracowało teraz odruchowo, wyuczone wieloletnim treningiem, zarówno w bazach, jak i na prawdziwym polu walki. Po to go stworzono, po to go szkolono.

Karol Hotaro był wojownikiem, współczesnym samurajem, który całe życie poświęcił doskonaleniu wojennego rzemiosła. To, że nie służył już żadnemu państwu, nie miało znaczenia. Liczyły się bitwa, huk karabinowego ognia, przeżycie i wykonanie zadania.

Dziś zadaniem było dostarczenie tego dziecka do jego rodziców i Hotaro miał zamiar to zadanie wykonać, tak jak wykonał wszystkie poprzednie.

Lewa dłoń pomknęła do klamki i otworzyła drzwi, prawa już unosiła karabin. Typ 88 wysunął się z przestrzeni między ramą drzwi a framugą kabiny. Mężczyzna, znajdując się nieco wyżej, miał doskonały widok na zaskoczonych, odskakujących ku osłonom żołnierzy.

Pociągnął za spust.

Karabin plunął ogniem. Pojedynczy pocisk trafił pierwszego wojaka w pierś i obalił go na ziemię. Hotaro oddał jeszcze dwa strzały w jego kierunku, a potem wymierzył w kolejnego. Koreańczyk potknął się, na trawę upadł już martwy – pocisk 7,62 przeszedł przez jego czaszkę jak przez papier. Krew i mózg wyciekały z rany wylotowej, brudząc zieleni.

– Teraz! – krzyknął i dziewczynka wykonała polecenie, wyskakując z kabiny. Hotaro oddał kilka strzałów, osłaniając ogniem swój własny odwrót. Koreańczycy już uskoczyli do kryjówek. Widok leżących na glebie towarzyszy skutecznie zniechęcał ich od wyglądania zza osłon.

Keiko była już na zewnątrz, kryjąc się, jak nakazał jej wcześniej Hotaro, gdy przygotowywał ją do tego, co może dziać się w JSA, za kołem FAW-a. Była teraz dobrze osłonięta – z jednej strony zasłaniało ją koło, z drugiej blok silnika. Mimo to Hotaro nie mógł jej nakazać, żeby pobiegła ku białym budynkom Południa. Znalazłaby się w zasięgu strzału żołnierzy, a to oznaczałoby śmierć.

„Śmierć i zawałoną misję”.

Przesiadł się na jej miejsce, a potem opuścił maszynę. Nasłuchując, wymienił taktycznie magazynek na pełny.

Kanonada! Żołnierze wychylili się zza osłon i zmasakrowali kabinę ciężarówki ogniem, zapewne z nadzieją, że przeciwnik wciąż tam siedzi. Pociski ryły karoserię, sypało się szkło. Jedna z opon wydała głośne westchnienie i FAW przysiadł na lewą stronę, gdy koło traciło powietrze. Z tyłu, ponad hukem ognia, Hotaro słyszał coraz bliższy odgłos silników.

Kończył im się czas. Gdy UAZ-y tu dotrą, będą otoczeni.

Mężczyzna kucnął i pochylił się głębiej, w dziwnej, wykrzywionej pozycji zanurkował z karabinkiem pod zderzakiem ciężarówki. Dostrzegł wystające zza osłon sylwetki żołnierzy, dwóch, potem trzeciego. Wciąż byli skupieni na kabinie.

Hotaro pociągał za spust, raz za razem, zasypując ich ogniem. Kule krzeszały iskry na karoseriach pojazdów, wzbijały tumany kurzu, trzaskając o fasady budowli, ryły korę z drzew.

Jak przystało na żołnierzy służących reżimowi, który nadymał się, prezentując rzekomą militarną potęgę i bojowego ducha, Koreańczycy z Północy byli beznadziejnymi strzelcami. Walili całymi seriami, wystrzeliwując magazynek za magazynkiem. Kule nie leciały „do celu”, lecz raczej zaledwie w jego kierunku. Owszem, taka ściana ołowiu była niebezpieczna na odkrytej przestrzeni, ale tu, mając osłonę, mężczyzna mógł

tylko śmiać się w duchu z fatalnego przeszkolenia przeciwników. A jednak *nec Hercules contra plures** – wróg po prostu przygnicie ich liczebną przewagą, gdy tylko na miejscu zjawia się UAZ-y.

„Tak jakby teraz jej nie mieli”.

Z głównego budynku po prawej zaczęli wysypywać się kolejni żołnierze – jedni mieli broń, inni, zapewne urzędnicy w mundurach, nie. Hotaro skierował tam lufę i pokrył schody ogniem. W armiach świata zachodniego strzelanie całymi długimi seriami już dawno odeszło do lamusa – ciągnęła seria oznaczała opróżnienie magazynka niekiedy w ułamku sekundy, zaś ogień tak prowadzony był skrajnie niecelny. Co innego pojedyncze, mierzone strzały. Oddawane szybko mogły pokryć dany obszar ogniem równie skutecznie jak strzelanie seriami, a dobrze przeszkolony żołnierz mógł tym sposobem razić przeciwnika o wiele celniej. Tak właśnie zadziałał Hotaro – Koreańczykom zapewne wydawało się, że wróg wali do nich serią, tymczasem mężczyzna mierzył bardzo uważnie, ścinając z nog jedną sylwetkę za drugą. Pociski przesywały ciała na wylot, leciały dalej, niekiedy trafiając kolejny cel, lub krzeszały chmurę pyłu, uderzając w schody. Te szybko pokryły się czerwienią, zasypane poskręcanyimi agonalnie ciałami wojskowych.

Typ 88 szcęknął, dając sygnał do wymiany magazynka, i Hotaro cofnął się zza zderzaka. Lewa ręka już sięgała po nowy zasobnik. Mężczyzna wyrwał go z kieszonki. Użył dźwigni, aby podważyć wypalony magazynek i wbić w jego miejsce nowy. Schylił się i znowu oddał kilka strzałów, żeby nie dawać przeciwnikowi wytchnienia.

* Żartobliwa sentencja łacińska, wyrażająca dosłownie „i Herkules nie (znaczy nic) naprzeciw wielu” (wszystkie przypisy pochodzą od autora).

Nic tak nie łamie ducha i woli walki jak ciągną kanonada.

Od południowej strony dało się słyszeć alarm. „Wspaniale, wiedzą, że coś się święci”.

UAZ-y wyłoniły się zza drzew.

Hotaro zadziałał natychmiast – przeskoczył na tył ciężarówki, kucnął za kołem i zaczął strzelać do pojazdów. Najpierw w ten bliższy, potem dalszy. Celował w kabiny. Pociski 7,62 pokryły szyby pajęczynami przestrzelin, kilka siekło maskę. Trysnął olej. Pierwszy UAZ skręcił gwałtownie, gdy przeżyty pociskami kierowca najpierw napiął się, a potem padł na kierownicę. Manewr był tak gwałtowny, że samochód przekreślił się na bok i zarył w trawnik. Drugi zahamował gwałtownie. Kierowca wyskoczył z kabiny, zostawiając w środku rannego kolegę. Zdał sobie sprawę, że zapomniał o broni, gdy było za późno – pociski Hotaro dosięgły go i powaliły na ziemię. Krew pokryła ostrzelaną maskę nierównym wzorem.

Typ 88 w rękach mężczyzny nagle zamilkł. Awaria! „Jeśli chcesz, by niezawodna broń zacięła się w najmniej odpowiednim momencie, zleć jej produkcję Chińczykom”. Hotaro nie miał czasu szarpać się z suwadłem i zaklinowaną w oknie wylotowym łuską. Puścił rękojeść, sięgnął do kabury, wyrwał glocka i schyliwszy się, znów posłał kilka strzałów w stronę UAZ-ów.

Niebo było już jasne, co dawało przewagę Koreańczykom. Ci jednak nie byli zbyt skorzy do kontrofensywy. Strzelano do nich z dwóch stron, celnie i szybko, nie wiedzieli więc, z iloma przeciwnikami mają do czynienia. Widzieli dwie osoby? Chyba tak! A może na pace ciężarówki kryło się więcej żołnierzy?

Raz na jakiś czas padał strzał, dało się słyszeć wykrzykiwane komendy – raczej paniczne i chaotyczne.

„Czas to kończyć”.

Hotaro sięgnął do kamizelki taktycznej, złapał za granat dymny, zerwał go z podwieszki, wyrwał zawleczkę i rzucił

w kierunku UAZ-ów. Potem szybko przesunął się na przód ciężarówki i zrobił to samo – granat pomknął po łuku ku kryjącym się za pojazdami i przy schodach. Powietrze wypełnił gęsty biały dym.

Mieli tylko kilka sekund.

Schowwał glocka, wypiął magazynek z karabinka, odciągnął zamek. Miał szczęście. Zakleszczona na „fajkę” w oknie wyrzutowym łuska sama wyleciała na trawnik. Hotaro wpiął świeży magazynek. Spojrzał na dziewczynę.

– Teraz! – rzucił do niej z ciepłym uśmiechem.

Wiedziała, co ma robić. Kazał jej powtarzać cały plan dziesiątki razy. O niczym innym nie rozmawiali, a ona była wzorową uczennicą – wykucie na blachę kolejnych kroków przyszło jej z równą łatwością jak nauka w szkole.

Poderwali się do biegu ku południowej części JSA. Wtedy właśnie Koreańczycy z Północy jakby się obudzili.

Przez dym pomknęły pociski. Część sieknęła w porzuconą ciężarówkę, reszta ścigała Hotaro i dziewczynkę. Ogień był prowadzony na ślepo, ale nie czyniło go to mniej śmiertelnościami. Kule świszczały wokół i wznicewały gejzery piachu, trafiając w trawę.

Białe i niebieskie baraki wydawały się w zasięgu ręki... a mimo to wciąż za daleko!

Keiko biegła i na chwilę, na krótką chwilę, wyprzedziła Hotaro. Wtedy to się stało.

Wokół dziewczynki wybuchły kolejne gejzery piachu. Upadła.

„Nie!!!”

Mężczyzna odwrócił się i posłał ku ścianie dymu szybko wypalane pociski. Dostrzegł w gęstej bieli zarys sylwetek i to do nich celował. Jedna upadła, druga zawahała się, a potem zaczęła się cofać, kulejąc.

Dopadł do dziewczynki. Jej usta były pokryte krwią.

„Wrócisz do rodziców, tak jak obiecałem!” Odrzucił karabin i sięgnął po glocka. Lewą ręką unióś dziecko i przytulił, jakby było jego własne. Jeśli kolejne kule miałyby ich dosięgnąć – niech trafią go w plecy.

Poderwał się i pognął na południe. Siedem białych i niebieskich baraków pomiędzy którymi kręcili się ludzie. Widział białe hełmy sił południowokoreańskich. Prawie, już prawie byli u celu!

Wpadł między baraki. Był na południowej stronie. Kule żołnierzy ludowej armii jeszcze trzaskały o budowle za nim, ale on był bezpieczny. Ona też.

Ruch z lewej strony, zza rogu. Hotaro gotów był unieść glocka w górę, pokazać, że się poddaje, że nie ma wobec żołnierzy Południa wrogich zamiarów, poddać się wszelkim procedurom, tylko po to, by Keiko otrzymała pomoc medyczną.

Najpierw dostrzegł wojskowy kapelusz o rondzie tak szerokim, że zdawało się, że zdoła z niego wystartować odrzutowiec.

Koreańczyk z Północy musiał próbować zająć go z flanki, gdy Hotaro był jeszcze przy ciężarówce. Był tak zdeterminowany, by dopaść cel, że przebiegł przez terytorium Południa. Na samym końcu drogi Hotaro miał pecha – musiał trafić na tego jednego, jedyne go żołnierza w całej armii Północy, który był na tyle odważny, że podjął własną inicjatywę.

Odwaga jednak nie szła w parze z przeszkoleniem.

Wojak wrzeszczał. Karabin trzymał nie uniesiony do twarzy, lecz na wysokości bioder, niczym Schwarzenegger na plakacie filmu *Komando*. Hotaro zadziałał odruchowo.

Szybko unióś glocka. Nie mierzył. Gdy tylko broń znalazła się mniej więcej na wysokości oczu, wypalił – raz, drugi, trzeci! Pociski 9 × 19 milimetrów zmasakrowały twarz Koreańczyka – jeden wpadł w czoło, tuż nad prawym okiem, drugi

w policzek, trzeci w rozwarte usta, wybijając górne zęby. Żołnierz zachwiał się lekko, jego palec zacisnął się na spuście.

Hotaro obrócił się błyskawicznie, gotów zasłonić Keiko i przyjąć pośmiertną serię na siebie. Ogłuszający terkot przesyłał powietrze, pociski zmasakrowały ścianę budowli po prawej. Potem wszystko ucichło.

Wciąż skulony, z pistoletem w rękę i z dziewczynką w ramionach, Hotaro usłyszał głosy.

– Ręce do góry! Jesteś aresztowany! – wrzeszczały po koreańsku.

Żołnierze KRLD raczej nie kazaliby mu się poddać.

– Mam broń i dziewczynkę – odparł w tym samym języku – poddaję się! Zdaję broń! Poddaję się! – powtarzał, by na pewno zrozumieli. By nie zmasakrowały ich kule, gdy wojskowi zobaczą glocka.

Uniósł rękę, a pistolet zadyndał niegroźnie, zawieszony jedynie na palcu. Silne ręce wyrwały mu go natychmiast, kolejne sięgnęły po dziewczynkę. Powalono go.

– To dziecko! – zakrzyknął ktoś.

– Nie żyje?

Hotaro syknął. „Nie! Oby nie!”

Nim nadeszła odpowiedź, zdawało mu się, że minęła wieczność. W końcu jednak usłyszał głos. Znajomy głos. Jedyny, który towarzyszył mu przez ostatnie dni.

– Chć do domu! – zakwiliła Keiko. – Proszę, nie róbcie temu panu krzywdy! On zabierze mnie do domu!

Porwali go z ziemi. Wcześniej próbowali założyć mu kajdanki, lecz miał zbyt grube nadgarstki. Poszły więc w ruch trytytki. Już tracił czucie w palcach, ale to nie miało teraz znaczenia.

Keiko siedziała pod budowlą, a wojskowy medyk ocierał krew z jej twarzy. Było jej sporo – dziewczynka przegryzła

sobie wargę praktycznie na pół, ale poza tym nie wyglądała na ranną. Spojrzała na Hotaro i w jej oczach płonęła szczerą wdzięczność. Choć nie było tu jej rodziców, tylko obcy ludzie mówiący w nieznanym języku, wiedziała, że to koniec gehenny. Że teraz wraca do domu.

– Nie ma za co! – rzucił do niej po japońsku, z uśmiechem, gdy go odprowadzano.

Nigdy więcej jej nie zobaczył.

Faza 1

Potomek samurajów

Pamiętaj, że istnieje zawsze zły duch, który nawiedza rodziny osób o wysokiej pozycji społecznej. Duch, który na dwa sposoby rzuca zły urok na członków klanu.

DAIDOJI YUZAN SHIGESUKE

Nie miał pojęcia, jak długo jechali ani jak daleko go wywieźli. Knebel uniemożliwiał mowę, Junji Shimazu mógł wydawać jedynie nieartykułowane dźwięki, a i tego odechciało mu się po kilku solidnych ciosach. Ktoś zasłonił mu oczy przepaską, nałożył na uszy słuchawki skutecznie izolujące wszelkie dźwięki, a na sam koniec na głowę narzucił czarny płócienny worek.

Kimkolwiek byli porywacze, nie chcieli, by wiedział, dokąd go wywożą.

Początkowo zresztą i tak był nieprzytomny. Hayao, jego kierowca, zginął od razu, gdy pocisk przeszył przednią szybę. Zanim Junji, jego asystentka i drugi ochroniarz zdolali zareagować, było po wszystkim – zamaskowani mężczyźni wyłamali drzwi, rozbroili ochroniarza i wszystkich wywlekli na ulicę. Ciosy, worki na głowach, ukłucie w nogę, po którym zasnął.

Obudził się już z kneblem i w słuchawkach.

Zarówno on, jak i jego żona, Yukiko, przechodzili kiedyś szkolenie na wypadek porwania – takie ryzyko zawsze istniało w wypadku najzamożniejszych osób w kraju. Japonia może i miała najniższy poziom przestępczości ze wszystkich krajów na świecie, ale to nie oznaczało, że przestępczości nie było w ogóle. Zнали więc procedurę, wiedzieli, jak się zachować – wszak kurs prowadzili byli specje z brytyjskich sił specjalnych SAS. Trening obejmował rozmaite scenariusze... a jednak ten wyglądał na coś kompletnie odmiennego!

Teraz czuł, że jedzie. Był w samochodzie? Nie – chyba w ciężarówce! Ciężarówce pędzącej na wybojach.

Ścisnęły go silne ręce, a to znaczyło, że nadal był w mocy porywaczy. Byli zamaskowani, ale przez te kilka chwil, gdy wywlekali go z auta, widział ich rosłe, muskularne sylwetki, słyszał kilka rzuconych szybko komend. Nie mówili po japońsku!

Ktokolwiek go porwał, był przygotowany perfekcyjnie. Znał wszystkie scenariusze i sztuczki, był zdeterminowany i miał zasoby do tego, by przeprowadzić akcję z rozmachem. Nie lękał się też przemocy. Shimazu przypomniał sobie rozłupaną pociskiem głowę kierowcy i drgnął.

Zatrzymali się, tak, był tego pewien. Szarpnięto nim, więc wstał z ławy. Stawiał kroki nieporadnie. Nie widział nic i nic nie słyszał, głowa już zaczynała mu pękać z bólu, odizolowana od bodźców. Czuł narastający atak paniki, miał wrażenie, że zaraz umrze.

Na szczęście na szkoleniu mówiono i o tym – uczucie przeżycia pozornie trwa wieczność, ale w istocie – nie dłużej niż minutę. Jeden z byłych operatorów był przecież psychologiem i przybliżył im także te aspekty porwań.

Eleganckie mokasyny (tak, Shimazu czuł, że nadal ma je na sobie) uniosły się, a potem dotknęły gruntu – błotnisteo, śliskiego. Musieli go podtrzymywać, by się nie przewrócił.

Wtedy ściągnięto z jego głowy wór. Gdy ktoś zerwał mu z uszu słuchawki, Shimazu miał wrażenie, że ogłuchnie od hałasu, choć słyszał jedynie wiatr, przyciszone głosy, słowa w obcym języku. I jeszcze gdzieś zaśpiew ptaka.

Wreszcie wyrwano mu z ust knebel, a dopiero na końcu ściągnięto zasłonę z oczu.

Światło aż go oślepiło. Chwilę trwało, nim wzrok przyzwyczaił się do widoku.

A cóż to był za widok!

Jechali na ciężarówce, i to wojskowej. Teraz Shimazu wyraźnie widział, że ściągnięto ich z paki. Obok stał

ochroniarz – pobity, ale żywy. I asyistentka. Z nią, o dziwo, brutale obesli się najłagodniej.

Podczas szkolenia operatorzy SAS ostrzegali jego żonę, Yukiko, iż porywacze mogą ją zgwałcić, nawet wielokrotnie. A jednak dziewczyna wyglądała na nietkniętą. Przerażoną, tak, ale jej ubranie nie było podarte, jedynie brudne... Ani razu nie dano im skorzystać z toalety i Shimazu czuł teraz, że wszyscy śmierdzą potem, moczem i własnymi odchodami.

Ale byli żywi. Mieli nieskończenie więcej szczęścia niż biedny kierowca. „Jak on miał na imię? Nazwisko Hayao, a imię? Ito? Nie... do licha, jak mogłem zapomnieć?”

Wokół byli też inni ludzie. Wyglądali na żołnierzy – ciemnozielone koszulki, kamizelki obwieszane, jak zdawało się Shimazu, granatami i magazynkami. Pistolety lśniące srebrzyście w kaburach przy pasach, w dłoniach długa broń. Wszyscy zamaskowani. Jeden z mężczyzn wyraźnie się wyróżniał. Też nosił kominiarkę, lecz nie był odziany jak wojskowy. Krzykliwa jasnozielona marynarka wyglądała jak coś, co nowobogacki gwiazdor telewizji przywiózłby od krawca w Koulunie. Eleganckie buty z jaszczurczej skóry (a może była to skóra krokodyla?) nie pasowały do błotnistej drogi. Za mężczyzną stał samochód – ciemnobrązowy land rover defender, na oko Shimazu z 2020. W pobliżu auta też stali uzbrojeni ludzie.

A dalej? Shimazu rozejrzał się – na pewno nie byli już w Japonii!

W oddali we mgle tonęły wysokie, porośnięte zielenią góry, oni zaś stali na błotnistej drodze biegnącej przez groblę, która przecinała rozciągające się wokół ryżowe pola. Jeden z uzbrojonych mężczyzn szedł wzdłuż jednego z tych pól, co jakiś czas wrzucając do wody coś przypominającego kształtem dyski. Potem wrócił.

Człowiek w marynarce zbliżył się do Shimazu.

– Pan musi z nami zostać – rzekł po japońsku, z mocnym akcentem. Wietnamskim? Nie, bardziej tajskim! Czy byli w Tajlandii? – Co do państwa – zwrócił się do ochroniarza i asystentki – za tym polem znajduje się granica państwa. Jeśli przebiegniecie przez pole, jesteście wolni.

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie. Shimazu przez krótką chwilę miał nadzieję, że jego pracownicy uniosą się honorem. Że powiedzą temu dziwnemu człowiekowi, iż wołą pozostać przy swoim pracodawcy.

Nic z tych rzeczy.

Nawet nie spojrzeli na skołowanego szefa. Pokiwali głowami i pozwolili, by jeden z mężczyzn rozciął ich więzy.

Stali chwilę, niepewni co dalej.

– No już! – rzucił radośnie Pan Marynarka. – Spierdalajcie!

Nie musiał im powtarzać dwa razy. Zsunęli się z grobli – kobieta boso, ściskając szpilki w dłoni, mężczyzna w swych eleganckich butach, plasnęli w brudną wodę i zaczęli biec. Nieporadnie, walcząc z podmokłym gruntem na dnie, ale oddalali się, metr po metrze, ku drugiej stronie pola i znajdującej się tam grobli wytyczającej metę tego kuriozalnego wyścigu.

Nagle ochroniarz bardzo mocno wysforował się naprzód. Sadził długie susy, wysoko unosząc nogi. Wyglądał dziwacznie, ale jego metoda była skuteczna – wyprzedził kobietę o kilka długości i już, już prawie był przy końcu pola... Jednak ten kuriozalny sprint sprawiał, że mężczyzna biegł jakby na ukos, bliżej krawędzi, przy której spacerował wcześniej uzbrojony, rzucający „dyskami” człowiek.

Jeden krok, kolejny i kolejny.

Huk eksplozji był ogłuszający! W miejscu, w którym jeszcze chwilę wcześniej znajdował się ochroniarz, wybuchł gejzer

wody zmieszanej z ludzkimi resztkami i krwią. Gdy fontanna opadła, na falującej powierzchni unosiły się kawałki ubrań, oderwana ręka i noga z butem wciąż obejmującym stopę.

Kobieta zatrzymała się i obróciła, by spojrzeć ku ludziom na grobli, zawahała się. Jej umysł, mimo wysiłku i stresu, pracował logicznie – Shimazu na współpracowników nie dobierał przecież byle kogo. Szybko zdała sobie sprawę, że prawa część pola jest niebezpieczna, skierowała się więc w lewo. Kroczyła powoli i ostrożnie, jakby macając stopami grunt, szukając nierówności czy czegoś, co by się tam wyróżniało. Brnęła, krok za kroczkiem, powolutku, a jednak coraz bliżej drugiej strony pola.

Pan Marynarka cmoknął niezadowolony.

– Przyjacielu – zwrócił się do jednego z uzbrojonych po angielsku, z perfekcyjnym brytyjskim akcentem rodem co najmniej z Oksfordu – zechciej coś z tym zrobić. – Wskazał coraz bardziej oddalającą się asystentkę.

Wywołany stanął na krawędzi grobli i uniósł broń – jasnobrązowy karabin z długą lunetą. Wymierzył.

Kobieta dotarła już na kraniec pola, wyczerpana oparła dłoń o trawę porastającą zbocze.

Mężczyzna pociągnął za spust.

Shimazu spodziewał się głośnego huku, jednak usłyszał jedynie jakby dmuchnięcie, gdy lufa wypluwała pocisk.

Kula trafiła kobietę w plecy, niemal dokładnie między łopatki. Niedoszła uciekinierka napięła się jak struna, a potem plasnęła w tył, do wody, barwiąc jej brąz ciemną czerwienią.

– No cóż, nie udało się – powiedział znowu po japońsku Pan Marynarka i odwrócił się do przerażonego Shimazu. – Zapraszam do siebie.

Popchnięto go w kierunku land rovera. Silnik warknął, jakby pojazd był żywą istotą.



Koreański żołnierz pilnujący Hotaro w pokoju przesłuchań przyglądał mu się tak, jakby miał zaraz urwać mężczyźnie głowę. Karol lub „Karl”, jak nazywali go Koreańczycy po tym, jak się przedstawił, co jakiś czas się uśmiechał, lecz widział, że nie uda mu się rozładować sytuacji.

Keiko pewnie była w drodze do rodziców. Jego przewieziono na dobrze obstawiony posterunek na południu i tam czekał na decyzję dotyczącą jego dalszych losów.

Nie sądził, by jakakolwiek ambasada się o niego upomniała. Ani japońska, ani amerykańska, polska to już w ogóle – wszak Hotaro nigdy nawet nie postawił stopy w ojczyźnie swych przodków. „Może kiedyś” – obiecywał sobie co roku, ale nigdy się nie zdecydował. Ciągłe były nowe zadania. Nowe osoby wymagające jego pomocy. Miejsce, z którego pochodziła jedna z połówek jego rodziny, mogło poczekać.

Zresztą – żadne ze wspomnianych państw, przynajmniej oficjalnie, nie wiedziało o jego istnieniu. Gdyby zginął w Korei Północnej, pozostałby anonimowym trupem, do którego nikt by się nie przyznał. Ryzyko było w całości na jego barkach, ale nie miał wątpliwości, że jeśli Keiko była z rodzicami, to podczas konferencji prasowej towarzyszyli im szef dyplomacji Japonii i jego południowokoreański odpowiednik, a operację ekstrakcji porwanego przez reżim Kimów dziecka określono jako „sukces dyplomatyczny”.

Hotaro uśmiechnął się w duchu.

Radio żołnierza zawarczało niezrozumiale, ten odpowiedział szybko. Spojrzał raz jeszcze na Hotaro.

– Najwyraźniej masz ważnych przyjaciół – rzucił.

– Nie da się mnie nie polubić – odparł perfekcyjnym koreańskim Hotaro.

Wojak prychnął i wyszedł. Po chwili w sali zjawił się ktoś inny.

Japończycy, nawet jeśli są bardzo silni, zazwyczaj nie mają potężnej muskulatury, no chyba że trenują sumo. Ten człowiek jednak był naprawdę sporych rozmiarów. Byczy kark, potężne ramiona, nogi jak kolumny. Hotaro nie był ułomkiem, ale muskulatura mężczyzny zawsze robiła na nim wrażenie. Makoto Saito, bo tak się nazywał, wyglądał jak tępy osiłek, jednak były to tylko pozory. W jego oczach dało się dostrzec niezwykle przenikliwą inteligencję. Saito był jednym z najbystrzejszych ludzi, jakich Hotaro znał. Oczytany, elokwentny, gdy było trzeba, zazwyczaj jednak oszczędny w słowach weteran japońskich wojsk specjalnych Tokushusakusengun lub SOG (od Special Operations Group, jak określali ich anglojęzyczni sojusznicy) był jednym z najbliższych przyjaciół Hotaro.

„Nie, poprawka – to jeden z moich niewielu przyjaciół” – pomyślał mężczyzna.

Saito westchnął i pokręcił głową. Obszedł stół, wyciągnął nóż i rozciął więzy ściskające nadgarstki kolegi. Potem schował broń i usiadł naprzeciwko.

– Mogłeś przynieść mi coś do picia – odezwał się po chwili ciszy Hotaro.

Saito pokręcił głową.

– Nie przeciągaj struny, Karor – odparł, przekręcając „po japońsku” imię kolegi. – Bitwa w obrębie JSA z siłami Północy – zaczął wyliczać na palcach – śmierć siedmiu żołnierzy Koreańskiej Armii Ludowej, zniszczenie infrastruktury i sprzętu, nie wspominając o incydencie międzynarodowym. O mało nie wywołałeś trzeciej wojny światowej... nawet nie wiesz, ile milionów dolarów musieliśmy przekazać Pjongjangowi jako „pomoc humanitarną” za wyciszenie sprawy, a wciąż nie ma pewności, czy udało nam się zniszczyć wszystkie kopie nagrań z kamer przemysłowych. Nawet teraz i nasi, i koreańscy

informatycy cheszą sieć, szukając wycieków... a i tak Pjongjang pewnie ma jakąś własną kopię, którą za jakiś czas znowu będzie nas szantażował. Masz cokolwiek na swoją obronę?

– Mam – odpowiedział od razu Hotaro. – Dziewczynka wróciła do rodziców.

Saito spoglądał nań tak, jakby miał mu zaraz przyłożyć. W końcu jednak uśmiechnął się serdecznie.

– Ty stary draniu! – westchnął.

– Sami nie chcieliście w to wejść, a nim dyplomacja zakończyłaby negocjacje, dziecko zniknęłoby w jakimś gułagu. Rodzina zwróciła się bezpośrednio do mnie. Sam ich zresztą tak pokierowałeś. Teraz powiesz mi, że też zadziałałeś na własną rękę? Że twoi szefowie nic o tym nie wiedzieli?

Japończyk długo i jakby z rozbawieniem spoglądał w oczy przyjaciela. W końcu odparł z uśmiechem:

– Tak. Moi szefowie nic o tym nie wiedzieli, a ja zadziałałem na własną rękę.

Teraz to Hotaro się zaśmiał.

Porwania obywateli Japonii, ale i innych państw – Korei Południowej, Wietnamu, Tajlandii, nawet Australii czy Filipin, dokonywane przez służby Korei Północnej, nie były żadną nowością. Co najmniej od lat siedemdziesiątych XX wieku reżim Pjongjangu „wykradał” ludzi, często z ulicy. Czasem w celu uzyskania informacji, innym razem, by coś wymusić na rządzie danego kraju, albo – jak w wypadku Keiko Komasy – kompletnie bez powodu i bez sensu. Negocjacje nie zawsze kończyły się sukcesem lub trwały na tyle długo, że rodzice rozpaczali nad porwanym dzieckiem, odzyskując – po wielu latach – dorosłą osobę, której nie poznawali.

Tym razem dziecko wróciło do domu po kilku tygodniach. Ale ile było jeszcze takich, które wciąż tkwiły w piekle Kimów? „Nie ocalisz wszystkich, Hotaro. Nawet nie próbuj”.

Liczył się ten jeden sukces. To jedno ocalone życie musiało na razie wystarczyć.

– Jak rozumiem, teraz też przybyłeś na własną rękę? – zagaił Hotaro.

– Tak. Mam cię zabrać z powrotem do Tokio. Też wracasz do domu, Karor.

– Zasłużone wakacje?

– Tyle odpoczynku, ile zdołasz wyrwać w samolocie. Jest kolejna osoba. – Saito wyjął zdjęcie z kieszeni spodni i położył je przed kolegą.

Fotografia przedstawiała mężczyznę w średnim wieku. Wąsaty, z grzywką mającą nieco zasłonić postępującą łysinę, w okularach. Sympatyczny uśmiech, bystre, dobrotliwe oczy. Typ japońskiego „salarymana”, ale już z sukcesami. Raczej dyrektor niż pracownik średniego szczebla. Tyle Hotaro wynioskował na podstawie fotografii. Musiał umieć „czytać” ludzi, choćby po zdjęciu. Często od tego zależało jego życie.

– Junji Shimazu, głowa Shimazu Estate. Biznesmen, jeden z najzamożniejszych ludzi w Japonii i zarazem potomek starożytnego, samurajskiego klanu – wyjaśnił pokrótce Saito – został porwany przedwczoraj z samego centrum Nagasaki. Według naszych informacji może być już za granicą.

– No to po co mam wracać? Nie lepiej, bym został tutaj, objęty przyjazną gościną naszych koreańskich przyjaciół? Jeśli został porwany przez sam-wiesz-kogo, to i tak za dzień lub dwa będę musiał ruszyć z powrotem na północ.

– W tym sęk. Jest głęboko wątpliwe, by zrobił to Pjongjang. Zapadła cisza. Hotaro analizował tę informację.

– Skąd ta pewność? – zapytał wreszcie.

Saito położył przed nim kolejne zdjęcie, przedstawiające pokryte krwią wnętrze samochodu. Chwilę trwało, nim Hotaro w wykrzywionym kształcie za kierownicą rozpoznał

człowieka. Czaszka była rozłupana niczym łupina orzecha. Na przedniej szybie dało się dostrzec pojedynczą przestrzelinę.

– Niezły strzał – gwizdnął przez zęby Hotaro.

– „Niezły” to mało powiedziane. Strzelec musiał trafić w powoli poruszający się cel, ale najwyraźniej zrobił to tak, by zabić kierowcę i nikogo więcej w środku. Zastosował amunicję myśliwską, stąd widowiskowy efekt, który teraz podziwiasz.

Istotnie, mózg na tylnym siedzeniu, wzorzyste zacieki krwi na fotelach i szybach – było na co popatrzeć.

– Dobra koordynacja działań. Po unieruchomieniu auta, jak mówią świadkowie, druga grupa podjechała furgonem, zapakowała pasażerów i odjechała w siną dal, nim ktokolwiek zdołał wyciągnąć telefon, by sfilmować zdarzenie. Według świadków całość trwała około dziesięciu sekund. Ja zgaduję, że uwinęli się w pięć.

– To znaczy, że dokładnie wybrali miejsce, w którym przeprowadzą ujęcie. Strzelec lub strzelcy i grupa przejmująca byli doskonale zgrani.

– A gdyby Shimazu się spóźnił? Albo obrał inną trasę?

– Musieli znać jego kalendarz. To biznesmen, prawda? I to zamożny? Tacy ludzie nie mają czegoś takiego jak „wolna chwila”, dni są ułożone co do minuty. Gdyby jednak coś nie zagrało... – Hotaro wzruszył ramionami – uderzyliby kiedy indziej i gdzie indziej. I mówisz, że minęły dwie doby, a on już jest za granicą?

– Oni. Porwano też ochroniarza i asystentkę.

Trzy osoby? To rzeczywiście nie wyglądało na Pjongjang.

– Podejrzewaliśmy boryokudan – wyśnił Saito.

– Yakuza? Nie wywoziliby gościa za granicę.

– Kiusiu to nadal ich bastion. Z wyspy wywodziło się i nadal wywodzi najwięcej członków tych grup. Jeśli porwania dokonano na ich terenie, to mogą coś wiedzieć... Muszą coś

wiedzieć – poprawił się Saito. – Przecież działanie dobrze zorganizowanej, uzbrojonej grupy na ich terenie to zniewaga!

– Znam kogoś stamtąd – powiedział Hotaro. – Pomówię z nim.

– Najpierw lecis z mną do Tokio. Musisz pomówić z kimś innym.

– Z kim?

Saito stuknął w zdjęcie mężczyzny.

– Z jego żoną.



WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



@wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

DROGA DO PRAWDY BĘDZIE USIANA ŁUSKAMI

Porwanie ważnego biznesmena wywołuje prawdziwe trzęsienie ziemi w świecie japońskiej polityki i zagraża stabilności całego regionu. W takiej sytuacji do gry wkracza Karol Hotaro – były komandos, specjalista od ekstrakcji o polsko-japońskich korzeniach.

Ślady wiodą go przez speluny japońskich gangów, głośnie ulice Tokio, dżungle Tajlandii i neonowe zaułki Bangkoku. Sprawa szybko się komplikuje, gdy śledztwo ujawnia kolejnych zaangażowanych – nie tylko yakuzie i rosyjskim najemnikom zależało na porwaniu. A stawka okazuje się wyższa, niż zakładano.



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł